

## Jacek Dziedzina

1

Przy tak zdefiniowanych alternatywach – albo rewolucja, albo era stabilności – zawsze mam nadzieję, że możliwa jest jednak trzecia droga – nawrócenie. Przy czym chodzi również i przede wszystkim o własne nawrócenie niżej podpisanego. Ani rewolucja sama w sobie, ani nadmierna stabilizacja niczego dobrego dla Kościoła nie oznaczają. Inna sprawa, że ta pierwsza często okazuje się wstrząsem koniecznym do tego, by nastąpiło przebudzenie i nawrócenie. Tak bywa i w osobistym życiu duchowym, i w doświadczeniu całej wspólnoty lokalnego Kościoła. Czy tak musi być również w przypadku Polski? Jeśli już szukać jakichś analogii, to na pewno nie w krajach takich jak Francja, Holandia czy nawet Hiszpania. Do laicyzacji doprowadziły tam procesy, które są jednak zupełnie różne od procesów dokonujących się w Polsce. Jedynym potencjalnym – ale wcale nieoczywistym – punktem odniesienia może być Irlandia. Irlandczyk katolik. To hasło chyba jeszcze bardziej niż polski odpowiednik oddawało rolę wiary i miejsce Kościoła w życiu społecznym Irlandii. Katolicki naród, niepodważalny autorytet moralny Kościoła w społeczeństwie. Tak postrzegana była przez długi czas Zielona Wyspa. I wydawało się, że tak będzie już zawsze. Tym większy szok wywołało w latach 90. ujawnienie przez media podwójnego życia cieszących się zaufaniem duchownych i serii skandali seksualnych z ich udziałem oraz cały system tuszowania i zamiatania

pod dywan przez biskupów. Niespodziewany kryzys odsłonił narastające tak naprawdę od lat 60. stopniowe załamywanie się wizerunku kraju jako nieskazitelnej przestrzeni żywej wiary. Kryzys okazał się wprawdzie okazją do oczyszczenia ze złudzeń, hipokryzji i niezdrowego samozadowolenia, ale kosztem pustoszejących kościołów. Czy taka musi być zawsze cena przebudzenia we wspólnocie chrześcijan? Od odpowiedzi na to pytanie zależy też po części odpowiedź na pytanie, czy tak samo musi być w Polsce. Warto podkreślić, że wierni w Irlandii zaczęli tracić zaufanie do duchownych nie tyle ze względu na same przypadki nadużyć, ale dlatego, że nie widzieli właściwej reakcji na skandale. – Starano się bronić instytucji, a nie prawdy. Później Kościół hierarchiczny przyznał się, ale stracił już wiarygodność – mówił mi przed laty o. David Sullivan. I chociaż w Polsce daleko nam jeszcze do ideału, tzn. takiego podejścia do ofiar nadużyć, które nie pozostawiałoby żadnych wątpliwości co do jasności intencji, mimo wszystko jesteśmy przynajmniej krok dalej niż Kościół irlandzki w latach 90. To ciągle za mało, by uniknąć katastrofy, ale zarazem na tyle dużo, by mieć chociaż nadzieję na uratowanie wiarygodności Kościoła. I nie chodzi o tzw. dobro instytucji – ale o wiarygodność tego, co jest jedyną racją istnienia Kościoła, czyli głoszenia Jezusa Ukrzyżowanego i Zmartwychwstałego. Dla tej wiarygodności warto stracić wszystko, co może i daje jakieś czasowe poczucie stabilizacji, ale co w rzeczywistości przeszkadza w tej podstawowej misji. Dłate-

go też mam nadzieję bardziej na ożywcze nawrócenie pastoralne (o którym więcej w dalszej części) niż na rewolucję, która wszystko niszczy, czy na stabilizację, która usypia czujność i daje złudne poczucie bezpieczeństwa.

## 2

Zapewne po części jedno i drugie. Walka o byt spowodowana zmianą sytuacji społeczno-politycznej w kraju i zarazem stan bezpieczeństwa betonowany kolejnymi uspokajającymi statystykami (mityczne „ponad 95 proc. wierzących”). Znowu jednak wolę wskazać na trzecią opcję: między walką o byt a poczuciem bezpieczeństwa jako Kościół dojrzewaliśmy – owszem, powoli – również do zrozumienia (i uznania, że dotyczy to także Polski), że wiara staje się coraz częściej świadomym wyborem, a nie tylko przywiązaniem do tradycji. W języku socjologicznym określa się to jako przejście od „Kościółu ludu” do „Kościółu wyboru”. W takim ujęciu kryzys może okazać się szansą na oczyszczenie. I skończenie z zabawą w „sympatyków chrześcijaństwa” (to słynne określenie ks. Franciszka Blachnickiego, twórcy Ruchu Światło-Życie). Kiedy ks. Joseph Ratzinger w latach 60. XX wieku prorokował: „Z obecnego kryzysu wyłoni się Kościół jutra – Kościół, który stracił wiele. Będzie niewielki i będzie musiał zacząć od nowa, mniej więcej od początku. Ponieważ liczba jego zwolenników maleje, więc straci wiele ze swoich przywilejów społecznych” – nie rozumiano tego jeszcze w pełni ani na Zachodzie, ani tym bardziej w Polsce. Do dziś wydaje się to

czymś niemalże obrazoburczym dla osób przywiązanych do status quo (a raczej wierzących, że status quo nie uległo zmianie). Kościół w Polsce chyba zbyt późno – o ile w ogóle – zaczął przejmować się i rozumieć inne słowa z tego samego proroctwa Ratzingera: „Kościół będzie wspólnotą bardziej uduchowioną, nie wykorzystującą mandatu politycznego, nie flirtującą ani z lewicą, ani z prawicą. To będzie trudne dla Kościoła, bo ów proces krystalizacji i oczyszczenia będzie kosztować go wiele cennej energii. To sprawi, że będzie ubogi i stanie się Kościołem cichych”. Nieżyjący już klasyk polskiej socjologii religii, ks. prof. Władysław Piwowarski, charakteryzując cechy „Kościółu wyboru”, mówił, że – w największym skrócie – model ten sprowadza się do przekonania, że do przeszłości należy już czas, gdy wiarę się „dziedziczyło”, a nastały czasy, gdy znowu staje się ona kwestią osobistego przeżycia i wyboru. Możliwe, że Kościół w Polsce, skupiając się raczej na uspokajających do czasu statystykach, zbyt późno się zorientował, że czasy „Kościółu ludu” należą już raczej do przeszłości – najczęściej w środowiskach większych ośrodków miejskich, ale i coraz bardziej w wiejskich. Odkrycie tego „przeoczenia” to pierwszy krok do tego, co nazywamy dzisiaj nawróceniem pastoralnym.

## 3

Próbując sformułować odpowiedź na to pytanie, pora chyba rozwinąć pojęcie „nawrócenia pastoralnego”, które uparcie powtarzam od początku i które uważam za kluczowe dla zrozumienia przy-

szości Kościoła. Przypomnijmy najpierw, że pojęcie to wypracowali w 2007 roku w brazylijskiej Aparecidzie biskupi Ameryki Łacińskiej – głównie za sprawą kard. Jorge Bergoglia, dzisiejszego Papieża Franciszka, a przy pełnej akceptacji i poparciu ówczesnego, Benedykta XVI (Papież Ratzinger już wtedy „Dokument z Aparecidy” nazwał programem reform dla całego Kościoła). W skrócie „nawrócenie pastoralne” sprowadza się do odkrycia i przyjęcia na nowo prawdy, że każdy ochrzczony musi być misjonarzem oraz że dla Kościoła ważny jest nie tylko wzrost liczebny, ale przede wszystkim jakość świadectwa. Bo to autentyczność świadków Chrystusa przyciąga tych, którzy stoją z boku, lub zniechęca i oddala tych, którzy stoją na jego progu. Papież Franciszek pod tym pojęciem rozumie „porzucenie wszelkich działań o charakterze konserwującym i zachowawczym na rzecz działań o charakterze zdecydowanie misyjnym”. Kiedy w 2014 roku prezentowano polskie wydanie „Dokumentu z Aparecidy”, obecny na prezentacji abp Rino Fisichella, kierujący Papieską Radą ds. Krzewienia Nowej Ewangelizacji, mówił, że nawrócenie pastoralne rozumie także jako odwrócenie się od biurokracji, przez której pryzmat często postrzegany jest Kościół, aby „stać się znakiem żywej wspólnoty, która głosi Jezusa Chrystusa i żyje Nim wewnątrz wspólnoty”. I powiedzmy sobie szczerze – to jest ciągle zadanie, przed którym Kościół w Polsce stoi. Nie tyle lejące choćby na łeb na szyję statystyki – one mogą być owocem braku „nawró-

cenia pastoralnego” – tylko właśnie istniejące ciągle, w różnych miejscach, w różnym stopniu, skostniałe, biurokratyczne, a czasem i dworskie zwyczaje, które może zapewniają klimat lodówki lub w najlepszym wypadku atmosferę pałacową, ale z pewnością nie dają poczucia wspólnoty wiary. I jest to problem, który w różnym stopniu dotyka różne diecezje czy parafie – podobnie jak poszczególne diecezje się różnią, nieraz skrajnie, statystykami dotyczącymi praktyk religijnych. I żeby było jasne – w „nawróceniu pastoralnym” nie chodzi wyłącznie o biskupów i księży, ale również o grupy parafialne, a przede wszystkim o rodziny. To chyba trochę pomijany w rozmaitych diagnozach wątek, ale przecież to rodzina jest pierwszym i podstawowym środowiskiem, w którym powinna (o ile mowa o rodzinie wierzącej) dojrzewać wiara dzieci. Owszem, wspólnota parafialna może uformować młodych, dojrzewających ludzi, ale to na rodzicach spoczywa pierwszy obowiązek przekazu wiary. Zanim więc ktokolwiek wyciągnie oskarżycielski palec, warto, by zadał sobie uczciwie pytanie, co sam zrobił, by jego dziecko, być może już dzisiaj dorosłe, odkryło w Kościele to, co w nim najważniejsze: wspólnotę wiary oraz przestrzeń łaski i spotkania grzesznika z miłością Boga.

Z jednej strony w Kościele nie obejdzie się bez „wymiany elit”. Jak to dosadnie ujął ostatnio rzecznik prasowy jednej z kurii diecezjalnych, „to pokolenie musi wymrzeć”, żeby cokolwiek się zmieniło. Jednocześnie – i to jest podstawą mojego

optymizmu – trudno nie mówić o odnowie życia dokonującej się już dzisiaj na wielu płaszczyznach, choć nie są to informacje z pierwszych stron gazet ani czołówki z portali internetowych. To dziesiątki, a właściwie już setki tysięcy ludzi, którzy na co dzień działają w przeróżnych grupach formacyjnych, wspólnotach modlitewnych i podejmują setki inicjatyw ewangelizacyjnych. I znowu chodzi nie tyle o same procenty, ile o skalę oddziaływania i zarażania dobrym poruszeniem kolejnych osób i wspólnot. To zarówno tradycyjne ruchy odnowy Kościoła, jak i powstające jak grzyby po deszczu nowe wspólnoty o charakterze modlitewnym lub mocno ewangelizacyjnym. Według Instytutu Statystyki Kościoła Katolickiego mamy 60 tys. wspólnot, organizacji, które działają przy parafiach. Liczba osób zaangażowanych w tych wspólnotach to ok. 2,5 mln. Jest to istotna część społeczeństwa obywatelskiego. Nawrócenie pastoralne musi polegać też na tym, by nie zgasić tego potencjału. Bo to głównie te środowiska tworzą przestrzeń, w której ludzie doświadczają (nierzadko po raz pierwszy w życiu) osobistej, ale przeżywanej we wspólnocie Kościoła i w jedności z nim, wiary w Chrystusa („Kościół wyboru”). Brak takich wspólnot właśnie w Irlandii przyspieszył proces laicyzacji. „Katolicyzm kulturowy” nie był w stanie zatrzymać zbiorowej apostazji wywołanej całą serią ujawnianych nadużyć i przestępstw, jakie przez dekady były w tamtejszym Kościele zamiatane pod dywan. Tąpnięcie nie byłoby tak bolesne, gdyby

irlandzka mapa katolicyzmu miała choć połowę z tych źródeł życia, jakie w Polsce tworzą wspólnoty wiary. Czyli grupy osób, które po obejrzeniu kolejnych filmów o nadużyciach czy przeczytaniu o kolejnych skandalach z udziałem duchownych nie odwrócą się na pięcie i nie wyjdą z kościoła, trzaskając drzwiami, tylko tym mocniej ścisną w rękach różańce, tym częściej przyjmą Komunię św., tym więcej będą modlić się za Kościół i tym mocniej będą głosić Ewangelię w „kato­lickich kulturowo”, choć nierzadko martwych duchowo środowiskach.

I to moim zdaniem jest kluczowe w próbie odpowiedzi na pytanie o przyszłość Kościoła w ogóle, także w Polsce: tylko wyjście z Ewangelią, tylko głoszenie kerygmatu, pierwszego i podstawowego przekazu Dobrej Nowiny, daje gwarancję, że Kościół, także w Polsce, będzie się rozwijał. Doświadczył tego każdy, kto choć raz podzielił się swoją wiarą, opowiedział koledze, sąsiadowi, komuś z rodziny o tym, co jest jedynym i pewnym światłem w jego życiu. Doświadczają tego wspólnoty Kościoła działające przy parafiach, a także te, które mają zasięg ponadparafialny: dopóki skupiają się tylko na sobie, na swoich problemach, rozczarowaniach, personaliach, ambicjach, zaszczytach itp., z czasem obumierają, usychają; w momencie, gdy wychodzą na zewnątrz, gdy idą z Ewangelią do ludzi, którzy poza metryką chrztu z Kościołem od dawna nie mają nic wspólnego, widzą, jak ich wspólnota zaczyna żyć, rozwijać się, nie tylko liczebnie, ale przede wszystkim duchowo.

Kościół w Polsce będzie silny, jeśli silne będą wspólnoty, które postawią na ewangelizację, a także na dalszą formację tych, którzy w Kościele odnajdą sens życia oraz – *last but not least* – które postawią na piękno liturgii. Człowiek potrzebuje zachwycić się Bogiem, który w Jezusie Chrystusie jeszcze mocniej objawił się jako Bóg zachwycający. A zachwyt jest początkiem poznania. ■

## Roman Graczyk

### 1

Przewidywanie przyszłości jest zawsze obarczone znaczną dozą ryzyka. Nie wiem, jak będzie. Z pewnością jednak powstały przesłanki do zmiany w postrzeganiu Kościoła przez Polaków. Do zmiany na gorsze. Punkt wyjścia (rok 1989) to tryumf Kościoła i niemal powszechne uznanie jego roli w Polsce. Dzisiaj widzimy wielki kryzys zaufania, a niekiedy ekscesy brutalnej antykatolickości, która trzydzieści lat temu byłaby nie do pomyślenia (i byłaby powszechnie odrzucona jako eksces, a dziś ubiega się o status uprawnionej obecności). Wydaje mi się, że ta tendencja utrzyma się albo nawet się wzmocni. Ale nic pewnego na ten temat nie potrafię powiedzieć.

### 2

Odnosząc się do przedstawionej alternatywy – odpowiadam, że stan cieplarnianego bezpieczeństwa. Piszę to jako autor, który w pierwszej dekadzie III RP sprzeciwiał się kolejnym uregulowaniom, które wprowadzały prawne uprzywilejowanie Kościoła.

Mówiąc dużym skrótem, już w momencie samego przełomu ustrojowego, na wiosnę 1989 roku, nie tylko przywrócono wolność religijną (co się Kościołowi oczywiście należało i było prostą konsekwencją likwidacji ustroju totalitarnego), ale i zaczęto budować system przywilejów (Komisja Majątkowa), a potem było już tylko gorzej: przywrócenie nauczania religii w szkołach publicznych (najpierw rozporządzeniem ministra, potem ustawowo, ale zawsze z naruszeniem praw Kościołów mniejszościowych i osób bezwyznaniowych), ustawy (np. o radiofonii i telewizji) wprowadzające prawny obowiązek ochrony wartości chrześcijańskich, potem konkordat, potem Konstytucja.

Zawsze te nowe regulacje były uzasadniane potrzebą naprawienia krzywd wyrządzonych Kościołowi w okresie rządów komunistycznych. Moim zdaniem krzywdy naprawiono już wcześniej, a nowe regulacje pisane były w duchu nadrzędności Kościoła katolickiego nad innymi i były przejawem pewnego rodzaju sojuszu ołtarza z tronem. Symbolicznym obrazem stanowiska Kościoła w tych sporach może być debata konstytucyjna z lat 1994–1997. Przypominam uporczywy sprzeciw Kościoła wobec użycia terminów: „świeckość państwa” oraz „neutralność światopoglądowa państwa”. Pod pozorem, że terminy te wywodzą się z epoki PRL-u, biskupi konsekwentnie je odrzucali, chociaż treść projektowanych przepisów nie miała nic wspólnego z PRL-em, raczej była doktrynalnym odrzuceniem PRL-u jako państwa wyznaniowego *à rebours*. Nie ma